ŻYCIE

ROCZNIK I. ZESZYT VI.

DNIA 5. LISTOPADA 1910 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: JULJUSZ ŁOPATKA.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A. ::

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“. : WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE. ::





ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

ARGUS.

KONSERWATYZM DEMOKRATYCZNY.

Głosowanie powszechne, którym najjaśniejszy pan obdarzył wierne ludy Przedlitawji, miało między innymi także i ten niewygodny dla naszej demokracji skutek, że zmusiło ją do odgrywania komedji, do której nie ma ona ani talentu ani temperamentu, mianowicie do komedji t. zw. „walczenia“ o reformę wyborczą do Sejmu.

Przedewszystkim sam fakt, że idea, którą jeszcze przed sześciu laty każdy stateczny demokrata galicyjski uważał co najwyżej za zwyczajne hasło demagogiczne, wymyślone przez żywioły wywrotowe i nienarodowe, stała się nagle „hoffähig“, stwarzał już szereg bardzo poważnych niewygód. Przyszła ta idea z tak wysoką i nieodwołalną sankcją zbyt nagle, aby galicyjskie mózgi demokratyczne mogły się zaopatrzyć w potrzebną do niej frazeologję zwaną „argumentami“. To też do dzisiaj jest rzeczą bardzo zabawną słyszeć, jak demokrata galicyjski uzasadnia ten „swój“ postulat czteroprzymiotnikowego głosowania. Stare jego frazesy o wolności i równości nie wystarczają mu bardzo, posiłkować się wprost frazeologją socjalistyczną nie może i żenuje się nieco, więc nadrabia rękami i nogami, argumentuje uśmiechem i westchnieniem, aby udowodnić to, w co sam nie wierzy i nie jest w stanie uwierzyć, aby w słuchaczu swoim obudzić pragnienie tego, czego on sam nigdy nie pragnął.

To też cały ten hałas, który rozlega się obecnie w Galicji, a który nazywa się pięknie „walczeniem“ demokracji o czteroprzymiotnikową reformę wyborczą do Sejmu, jest istotnie motywem do operetki, czekającej jeszcze swojego Offenbacha. Różnoimienni demokraci, którzy, rządząc miastami, nie myślą nawet zastosować ukochanej przez siebie idei najpierw w zakresie swej praktycznej władzy — w samorządzie miejskim, chcą ją równocześnie narzucić jednemu z najciemniejszych i najupartszych gatunków konserwatyzmu, jaki reprezentują konserwatyści galicyjscy, szczególniej zaś podolski ich odłam.

W tych warunkach „walka“ o reformę wyborczą do Sejmu, którą przed czterema laty rozpoczęły t. zw. „żywioły demokratyczne“, od samego początku nie miała żadnych szans powodzenia. Wkrótce jednak straciła nawet pozory walki i stała się humbugiem, jakiego w ciągu pięćdziesięcioletniej ery autonomicznej wyborcy galicyjscy jeszcze nie oglądali. Niechajże mu się dobrze przypatrzą, bo czegoś w tym rodzaju nie ogląda się często....

Przedewszystkim jest bardzo charakterystycznym, że żaden z odcieni demokratycznych, szykując się do boju z konserwatystami o reformę wyborczą, nie zadał sobie trudu ustalenia jakiegokolwiek programu tej żądanej przez siebie reformy. Na wszelkie pytania w tym względzie miał być wystarczającą odpowiedzią frazes, że reforma ta powinna „opierać się“ na zasadzie czteroprzymiotnikowej przy równoczesnej obronie t. zw. „interesu narodowego“. Frazes ten wprawdzie nigdy nic nie znaczył, ale wyborcy mogli się łudzić. Dziś jednak, kiedy znane już są przynajmniej urywki rozmaitych pozytywnych projektów reformy wyborczej, jakie wyszły z laboratorjum demokratycznego, nawet najbardziej bezmyślny wyborca powinien zrozumieć, że na tyle sławionym przez demokratów „gruncie“ czteroprzymiotnikowym można przy odrobinie dobrej woli i szczypcie dowcipu wytwarzać najreakcyjniejsze monstrualności pod postacią reformy wyborczej.

Ten brak programu i ta niechęć demokratów do wytworzenia go i ustalenia pochodziły nie tyle z wrodzonej wszystkim praktycznym ludziom odrazy do wszelkiego teoretyzowania i formułkowania, ile ze zwyczajnego instynktu oportunistycznego, który nie pozwalał demokratom wiązać się żadnymi programami. Zdaniem wielu burmistrzów galicyjskich takie rzeczy jak programy, deklaracje, zobowiązania są niepotrzebnym i niewygodnym komfortem politycznym, dobrym może gdzieś we Francji czy w Anglji, ale zupełnie zbytecznym u nas, gdzie handel wedle stałych cen ciągle jeszcze ustępuje miejsca handlowi z targiem...

Wskutek braku owego programu reforma wyborcza nie przeszła przez alembik dyskusji publicystycznej, nie wytrzymała próby ogniowej zgromadzeń publicznych, nie wywołała ani jednej polemiki rzeczowej, a teren „walki“ o nią przeniósł się natychmiast za kulisy, w sferę ukochanego przez demokratów naszych konwentyklu, w cieniu którego łatwiej jest „gadać na rozum“ i wygodniej dobijać targu.

Widząc to wszystko konserwatyści, nabrali otuchy. Straszny ich wróg, który oto wybrał się przeciw nim, aby ich pozbawić ostatniego schronienia w sferze politycznego życia, okazał się rychło bardzo mało strasznym. Wkrótce zaś stał się dziw nad dziwy, bo oto wojska oblęgające twierdzę konserwatywną, miast iść do szturmu, zaczęły molestować oblężonych prośbami, aby podali warunki, pod którymi mogliby oni od oblężenia — odstąpić....

Do takiej bowiem niemądrej komedji doszła w tej sprawie polityka demokratów, którzy walkę o reformę wyborczą rozpoczęli od ubolewania nad trudnością — dojścia do kompromisu. I to do jakiego kompromisu! Wszak zupełnie nie wiadomo wobec braku obowiązujących demokrację naszą programów w tej sprawie, z czego mianowicie jest ona skłonna rezygnować, a co uważa za konieczne i niezbędne, gdzie leży i którędy biegnie ostateczna granica jej ustępstw, poza którą nie posunie się ona pod żadnym warunkiem.

To też konserwatyści lepiej w sztuce politycznej wyszkoleni i zadanie mając łatwiejsze — nie potrzebują bowiem nic udawać — zaczęli poprostu dworować sobie z demokratów. Każdy niemal dzień tych boskich zapasów przynosi nam nowe tego dworowania przykłady. Konserwatyści, ulegając gorącym prośbom swoich przeciwników, podają im coraz to lepsze warunki, pod którymi mogliby się oni uznać za zwycięzców. Dzisiaj słyszymy o potrójnej pluralności, jutro o trzymandatowych okręgach, pojutrze znowu dowiemy się coś niecoś o prawie „veta“ każdej poszczególnej kurji t. j. o faktycznym powrocie do najstarszej i najgorszej reprezentacji narodowej wedle systemu stanowego.

Wszystkie te propozycje konserwatywne są naturalnie kpinami z demokratów, ale kpinami zupełnie zasłużonymi. Demokraci bowiem krzyczą zawsze w takich razach, że tego nie chcą, ale strzegą się zdradzić tajemnicy, czego mianowicie chcą. Jest to ostrożność chwalebna może w handlu korzennym, ale stanowczo haniebna w polityce i to „narodowej“ w dodatku.

Byłbym jednak niesprawiedliwym, gdybym mimo to wszystko odmówić usiłował demokratom tak wysoko przez nich cenionej „dobrej woli“. Wolę i to najlepszą, nie tylko dobrą, do odegrania tytułowej roli w tym poronionym utworze i do wymiany mózgów nie tylko w Wiedniu ale także i we Lwowie mają oni niewątpliwie. Brak im tylko dobrej myśli, co stanowi już ich brak organiczny, który teraz właśnie, kiedy przyszła pora na samodzielne myślenie, mści się na nich nielitościwie.

Demokracja w kraju, który jak Galicja wydobywa się dopiero z pojęć i instytucji średniowiecznego feodalizmu, w kraju ubogiego i ciemnego chłopa, niezbyt jasnego szlachcica, próżnującego proboszcza i marzącego o podwyższeniu pensji i awansie urzędnika, demokracja, jakkolwiekby się

ona nazywała, nie może być nigdy zbyt silną ani materjalnie ani moralnie. Brak jej bowiem dość pewnej ostoi w samym organiźmie społecznym, za słabo rozwiniętym i za mało zróżniczkowanym, aby mógł wytworzyć organ do zaspokojenia potrzeb, których odczuwanie leży jeszcze pod progiem jego świadomości zbiorowej.

I rzeczywiście analiza jakościowa naszych żywiołów demokratycznych daje stale wynik ujemny pod względem ich tęgości i siły twórczej. Demokracja opiera się na miastach, miasta na urzędnikach, urzędnicy na rządzie, a rząd sprawują konserwatyści. Proszę spróbować przeciąć gdziekolwiek to nie tyle zaczarowane ile bardzo zacieśnione kółko, a okaże się, że na kształt barona Münchhauzena opuszczamy się z nieba na ziemię po linie, obcinając ją na górze, aby przysztukować u dołu.

A teraz weźmy na wzgląd zabójczą dla wszelkiego mózgu atmosferę czczego a grzmiącego frazesu, w którym przez całe lata wychowywała się ta chora na pląsawicę frazeologiczną demokracja, pamiętajmy, że wyszła ona ze szkoły politycznej, w której mistrzami jej byli konserwatyści o polu widzenia politycznego i społecznego niesłychanie ograniczonym, a zrozumiemy, że, o ile chodzi o obecną działalność polityczną demokracji naszej, to od oskarżenia jej o niedołęstwo, bezideowość i brak odwagi do zasądzenia musi być bardzo daleko. Nieodporny przymus znaczy tu bardzo wiele...

W życiu publicznym i zbiorowym wzajemne oddziaływanie na siebie grup poszczególnych odbywa się nie tylko w kierunku ich współrzędności, ale także w kierunku ich antagonizmów. Wrogowie walczący ze sobą oddziałują na charakter swoich wewnętrznych ewolucji tak samo, jak ściskający się przyjaciele, a raczej jeszcze więcej, a w każdym razie jeszcze wyraźniej. Konieczność naśladowania przeciwnika i dorównywania mu pod względem uzbrojenia i fortelów bojowych, potrzeba prześcigania wroga w sile organizacji, w jej sprężystości i spoistości, potrzeba wreszcie dorównywania mu pod względem umysłowego rozwoju, to wszystko czynniki pedagogiczne, tkwiące w walce, których oddziaływanie znać wyraźnie zarówno w życiu całych narodów i państw z sobą walczących, jak i poszczególnych stronnictw i grup w łonie tych narodów ścierających się z sobą.

Demokracja galicyjska przez lat pięćdziesiąt nic innego nie robiła, jak tylko walczyła z konserwatywną wszechwładzą i oto — jak się pięknie ukształtowała w tej walce. Zaiste nie można przeciw dotychczasowym rządom konserwatywnym w Galicji sformułować bardziej zasadniczego i bardziej — że się tak wyrażę — syntetycznego zarzutu, jak ten, że konserwatyści nie potrafili wychować sobie przyzwoitej opozycji, że ta demokracja, która żmudny i nudny obowiązek tej jałowej opozycji przez pół wieku spełniała, wyszła ostatecznie z jego szkoły w stanie absolutnego analfabetyzmu politycznego, nie pozwalającego jej maskować faktu, że sama już dawno stała się konserwatywną.

Wprawdzie pojawienie się na widowni politycznej Galicji narodowych demokratów było właśnie nie czym innym, jak właśnie tylko stwierdzeniem tego faktu skonserwatywnienia demokracji, ale frazes powstańczy, którym się ta postać demokracji galicyjskiej dość długo osłaniała, wytwarzał u mniej przenikliwych najrozmaitsze a zawsze bardzo komiczne a rozbrajające złudzenia... Dzisiaj to zjawisko uwstecznienia demokracji nie może już ulegać żadnej wątpliwości. Wszak fakt, ze znaczny jej odłam organizuje się obecnie pod przykrywką pracy t. zw. „pozytywnej“ a pod kierownictwem konserwatywnego namiestnika, będącego przedstawicielem oficjalnym najbardziej zaawansowanego skrzydła konserwatywnego, jest tak wymowny, że tylko zdecydowany abderyta mógłby znaczenia jego nie rozumieć.

Demokraci galicyjscy tak długo walczyli z konserwatystami, dopóki sami nie uwstecznili się ostatecznie, nigdy zresztą myśli narodowej zbytnio nie przodując. Ale nie tylko stali się konserwatystami. Stali się nimi w najgorszym krakowsko-podolskim stylu, który wzięli także od swoich mistrzów, a którego głównym motywem jest — hipokryzja... Nieodparta chęć naiwnego udawania, jakaś organiczna niemal potrzeba do nazywania prostych i jasnych rzeczy złożonymi, niejasnymi a stale fałszywymi terminami — oto maniera nieznośna, w którą ten archaiczny styl polityczny przerodził się w ręku naszej demokracji.

I czego tu się wstydzić i co ukrywać? Wszak wszyscy wiemy, że dzisiaj w całej Europie wszystkie grupy społeczne, pozostające w analogji do tych grup, na których się nasza demokracja opiera, są konserwatywne. Wyjątek stanowi jedna jedyna Anglja, w której potrzeba zachowania zasady wolnego handlu, pcha mieszczaństwo do walki z protekcjonistycznym konserwatyzmem na gruncie szerokiego programu reform społecznych. Mieszczaństwo półwyspu Iberyjskiego nie wchodzi tu w rachubę, ponieważ teraz dopiero staje ono przed zadaniem walki z klerykalizmem, które inne demokracje europejskie — naturalnie z wyjątkiem naszej — dawno już spełniły i teraz już tylko finalizują, jak n. p. we Francji.

Demokracja dochodząc do władzy staje się z konieczności konserwatywną, ponieważ każdy rząd jest z natury rzeczy konserwatywny, mając za zadanie utrzymać przedewszystkim to, co zastał, a dopiero w drugim rzędzie zmieniać zastane w taki lub inny sposób. Tylko bardzo jeszcze zielony radykał mógłby potępiać konserwatyzm jako taki. Każdy natomiast rozumiejący bodaj trochę z tego, co się dokoła niego bez przerwy dzieje, musi wiedzieć, że bez konserwatyzmu nie dałaby się pomyśleć żadna postępowość, że musiałaby się ona rozpłynąć w powodzi frazesów nic nie znaczących i że element konserwatywny tkwi z konieczności w każdej doktrynie, w każdym światopoglądzie, który wogóle pragnie się ostać i ustalić.

Nie to jest tedy złe, że demokracja nasza stała się konserwatywną, ale to jest fatalnym, że stała się nią przedtym, zanim jeszcze cokolwiek konserwowania godnego wytworzyć zdołała i że się do tego żadną miarą przyznać nie chce.

Fakt pierwszy, ta „conservatio ante creationem“, jest niezależnym od woli demokracji. Nie można jej też za niego winić, aczkolwiek daje on najfatalniejsze rokowanie dla przyszłości kraju naszego, który rządzony będzie przez „dochodzących do władzy“ demokratów z taką samą bezprogramowością, z jaką rządzili nim konserwatyści. Natomiast wina za ten drugi fakt nieprzyznawania się do konserwatyzmu, maskowania go wszelakimi frazesami, zapożyczonymi od mistrzów szlacheckich, należy zapisać w całości na konto „winien“ demokracji. Stanowi on bowiem dalszy, zupełnie niepotrzebny ciąg tej demoralizacji i dezorjentacji politycznej, którą w biednym społeczeństwie naszym wytwarzali konserwatyści z tą różnicą, że czynili to oni dla szeregu bardzo ważnych powodów, podczas gdy demokraci naśladują go zgoła niepotrzebnie.

Rządy konserwatywno-szlacheckie były i są jeszcze dotąd typowymi rządami oligarchicznymi. Krajem i społeczeństwem rządzi garstka uprzywilejowanych, doskonale znających się wzajemnie ludzi, którzy procederowi temu musieli nadawać firmę rozmaitych wzniosłych obrządków, jak „służba narodowa“, obrona „interesów narodowych“ i t. p. kłamstwa, ponieważ inaczej opinja publiczna nawet tak słaba jak galicyjska, nie byłaby długo zniosła cynizmu oligarchów, wyznających otwarcie, że przedewszystkim chodzi im o zakonserwowanie swoich własnych przywilejów stanowych i swojego materjalnego i moralnego stanowiska w społeczeństwie.

Demokracja dzisiejsza w przeciwstawieniu do szlachty oligarchją nie jest. Przeciwnie wykazuje ona aż za wiele cech typowej ochlokracji. Nikt jej też nie posądzi o kierowanie się interesem egoistycznym jakiejś jednej małej grupy, którego ujawnienie jest w polityce niedopuszczalnym. Wśród demokracji grają rolę egoizmy indywidualne bardzo silne, a w klasie ekonomicznie tak mało nasyconej jak nasze mieszczaństwo, zupełnie zrozumiałe. Poszczególni demokraci mogą niełądnie intrygować przeciw sobie z powodu tej lub tamtej synekurki lub prezesurki, ale ostatecznie są to wszystko rzeczy ludzkie, które lepiej, aby nie były zbyt wyraźne, ale jeżeli są, nieszczęścia nie stanowią. Chodzi o to, że demokracja jako partja, czy tam kolekcja partyj nie może być oligarchią i że właśnie dlatego ostateczne dojście jej do władzy stanowić będzie niewątpliwie pewien i to znaczny postęp w porównaniu z dzisiejszym bardzo jeszcze pierwotnym systemem oligarchicznym. Ostatecznie władza nigdy i nigdzie nie przechodziła wprost z rąk oligarchicznej grupy w ręce ludu — jeżeli wogóle gdziekolwiek do niego szczęśliwie dotarła — ale pośrednio, stopniowo, w taki sposób, że oligarchje rozszerzyły się po prostu na coraz szersze i liczniejsze grupy, aż wreszcie znikła wręcz arytmetyczna podstawa do uważania rządzącej grupy za oligarchję.

Skoro zaś tak jest, to pocóż się demokracja kryje ze swoim konserwatyzmem i ze swoim egoizmem klasowym, czy stanowym? Czy nie lepiej byłoby, gdyby wodzowie jej powiedzieli jasno: „Jesteśmy konserwatystami politycznymi. Nie obiecujemy ci, najmilszy narodzie, żadnych szczególnych smakołyków, a karmienie cię nimi pozostawiamy od dzisiaj tym, co po nas kiedyś przyjdą. Sami zaś będziemy robili, co można i co potrafimy, tak, aby nam przedewszystkim dobrze było, a także, aby i tobie się poprawiło coś trochę, to jest tyle właśnie, ile potrzeba, abyś siedział cicho i zbytecznego hałasu nie wszczynał!“

Czy takie postawienie sprawy swojej może w formie nieco łagodniejszej, ale w każdym razie szczere, nie przyniosłoby demokracji a za nią i społeczeństwu więcej pożytku, niż owo bardzo już nudne „walczenie“ z konserwatystami, oto kwestja, nad którą bardzo warto, aby się „ideologowie“ naszej demokracji z właściwą sobie skłonnością do pogłębiania każdego zagadnienia gruntownie zastanowili.

JENERAŁOWICZ.

Z WARSZAWY.

Jeżeli Kraków jest miastem tradycji królewskiej Polski, Warszawa pozostanie na zawsze miastem tradycji narodowych, lecz tradycje te są dziś niestety głęboko ukryte przed okiem nowych pokoleń. Dba o to rząd i dbają o to różni teoretycy książkowi, mianujący się wodzami duchowymi tych tłumów warszawskich, które nawet nie wiedzą, że ich przodkowie kochali wolność i krew za nią przelewali. Gdzież szukać wznioślejszego dla tych tłumów warszawskich nauczyciela nad owych tłumów własne, a tak krwawe dzieje? Gdyby agitator miast dobywania z zanadrza broszurek z doktrynami ekonomiczno-społecznymi oprowadzał owe tłumy po ulicach Warszawy i Pragi, po polach Grochowa i Woli, gdyby w duszy jego zbudził się historyk, czyli ona pamięć i ono sumienie narodu, tłumy warszawskie dowiedziałyby się czegoś o swych bohaterskich ojcach, dziadach, matkach i babkach, które w ciągu jednego wieku na trzy bohaterskie zdobyły się wysilenia. Ale na czoło tłumów warszawskich, własnej nie znających historji, wysunęli się ludzie mali, wrzaskliwi, pyszałkowaci, ducha rewolucyjnego pozbawieni, często kantorzyści, wychowani w kramarstwie, targu i merkantylizmie, ludzie bez przeszłości i przyszłości, którzy burzyli wszystkich przeciw wszystkim i których porządna rewolucja byłaby przedewszystkim jako ostatnich szkodników powywieszała. Nie było śród nich ani jednego m ę ż a p u b l i c z n e g o. Tłum, jak zwykle tłum, wydał z siebie znowu szereg bohaterów, zastęp nadzwyczajnych ofiarników; ale tłum zapomina prędko o własnych bohaterach i ofiarnikach, jak tłum 1905 roku nie pamiętał o swych bohaterach z roku 1863, 1831 i 1794. Wmówiono w niego i wmawia się w niego dalej, że to były ułudne wysiłki umierającej kasty szlacheckiej, że powstania polskie „kos nie rozpętały“.

Przez pobojowiska Pragi, Olszynki, Woli, Ostrołęki wyciąga się rękę do proletarjatu rosyjskiego, o którym tu w Warszawie tylko tyle wiemy, że pod opieką rządu wypiera z pieleszy ojczystych proletarjat polski, zabiera mu chleb z przed ust, odpędza od budowy mostów, dróg żelaznych, robót publicznych, dezorganizuje tabory kolejowe, dostarcza komorom artelszczyków i całkiem dobrze się czuje w roli „narodu panującego“. Ilekroć mówi się i pisze o „Rosjanach w Polsce“, zawsze tylko urzędnictwo ma się na myśli; o fatalnej roli ludu rosyjskiego nikt nigdy nie wspomniał. Lud ten, napływając do Warszawy, żąda pracy natarczywie, brutalnie, narzuca się, a gdy jej nie dostaje, krzyczy zupełnie, jak „Nowoje Wremja“, iż jest w Polsce prześladowany! Teorja całkiem słusznie woła: proletarjusze wszystkich krajów łączcie się! Ale w praktyce wygląda to nieco inaczej. Socjaliści rosyjscy, gdy mowa o Polsce i jej prawach przyrodzonych, zaczynają zawsze od narzekania na nasz szowinizm. To samo czynią obecnie socjaliści berlińscy. A dzieje się to w chwili, kiedy w Królestwie pozamykano nam wszystkie instytucje oświatowe, przeznaczone dla robotników, i kiedy w Niemczech zabroniono nam nawet obradować w języku ojczystym. Ale cóż narzekać na tych doktrynerów, którzy tak wedle książki chcieli robić rewolucję, jak dziś wedle książki gotuje się obiad... Na szczeblu znacznie wyższym, wśród inteligencji postępowej, stare sławy bynajmniej nie spisały się lepiej. Ludzie doktryny wchodzili na mównice, otaczali się byle kim, z byle kogo tworzyli „partje“ i „stronnictwa“, akademickie mowy przepełniali komunałami... Kupcom i handlarzom „polskość“ naszego postępu była bardzo na rękę, nie ze względów patrjotycznych, nie, wcale nie, ale tylko dlatego, ponieważ postęp „polski“ przeciwstawił się anarchji i szczypty nie miał w sobie rewolucyjności. Śród kupców i handlarzy, którzy drżeli o swe sklepy, kantory i fabryki, siwi postępowcy głosili z emfazą: „My jesteśmy dziedzicami Katechizmu Demokratycznego!“ „Tak, my, my, nie wy!“ — wołało w stronę rewolucjonistów za mówcą zapienione kupiectwo. „My jesteśmy wykonawcami testamentu politycznego legjonów polskich“, prawili siwi postępowcy. „Tak, my, my, nie wy“, krzyczeli przez jego plecy do rewolucjonistów dostawcy cementu dla budowy fortów cytadeli warszawskiej, do których sadzano owych rewolucjonistów... I oto działa się farsa, farsa wstrętna. Burżuazja żydowska, której rewolucja popsuła dostawy dla wojsk, fortów, intendantury, kolei rządowych, otoczyła zwartym murem głów postęp polski, mieniła się dziedzicami Dąbrowskich i Kościuszków, Kniaziewiczów i Kamińskich, a gdy zawołano ku niej „zasię!“, wnet podniosła wrzawę, że zrodził się postępowy antysemityzm! Rozumie się, że natychmiast wrzawę tę poczęli uzasadniać teoretycznie różni panowie Krzywiccy i Kulczyccy, którzy zatracili czucie dla rzeczywistości i którzy zawsze brać będą w obronę żydów, a milczeć o Polsce. Że pół Lwowa szwargoce dziś po niemiecku, o tym p. Kulczycki nie wspomni, że pół Warszawy mówi dziś ustami żydów po rosyjsku, na ten temat p. Krzywicki ani jednego słowa nie uroni; ale gdy kto inny to uczyni. natychmiast biadać poczną na reakcję, na antysemityzm, na czarnosecinne zapędy... Do trzech zaborów Polski przybył jako czwarty zabór katolicki i jako piąty zabór żydowski. Ugodowcy każą nam kłaniać się Rosji, postępowcy i esdecy żydom; pierwsi przynajmniej całkiem otwarcie nazywają siebie konserwatystami, gdy drudzy dufnie przypisują sobie miano rewolucjonistów. Z proletarjatu polskiego chciano uczynić i bodaj już uczyniono przedmurze dla sklepikarstwa żydowskiego. Kazirodczy związek proletarjatu polskiego z drobnomieszczaństwem żydowskim, połączony stułą esdecką, a za indultem pp. Krzywickich i Kulczyckich, zdyskredytuje u nas do reszty socjalizm i rozbije postęp, który dziś jako organizacja ma wszystkie cechy uwiędu starczego. To, co się dziś w Warszawie nazywa socjalizmem i postępem, nie jest ani jednym. ani drugim. Natomiast budzą się już nowe uświadomienia i zyskują wyraz publiczny. Socjalizm poczyna się oczyszczać z naleciałości. tak samo postęp.

Ideologje obu tych ruchów ulegają gruntownej rewizji, socjalizm pozbywa się swego doktry-

nerstwa, a postęp swej sofistyki. A przedewszystkim chodzi o to, jacy l u d z i e będą się brali do socjalizmu i postępu. Czas najwyższy pozbyć się tych wszystkich pierwiastków, które przy ogniu spraw polskich chcą piec swoje specjalne pieczenie. Zarzucano narodowym demokratom, że w czasie rewolucji używali polskości, jako czynnika antyrewolucyjnego. Niestety, postęp uczynił niemal to samo, tylko jeszcze bardziej niesmacznie. Do urny wyborczej pchnął Ghetto. Oprzeć się chciał na masach żydowskich, nie mających nic wspólnego z postępem, które dziś pod wodzą Jackanów i ich „Hajntów“ są wprost polakożerczo nastrojone. Obrabiająca z temi masami burżuazja żydowska, będzie się zawsze wymigiwała od generalnej rozprawy z nacjonalizmem żydowskim na rzecz polskości i zadowolni się nic nie mówiącymi frazesami. Obrabiający interes z burżuazją żydowską postęp polski nie zadrze za nic w świecie z tą burżuazją. Pan Kempner z „Nowej Gazety“ znajdzie sobie zawsze najmitów wśród pisarzy postępowych, którzy mu za pięć kopiejek od wiersza będą bronili żydów jako całości przed wszelką krytyką i wszelką analizą. Jeżeli w Krakowie zbierze się wiec sjonistów, pan Kempner przedstawi go Warszawie, jako wiec najlepszych patryjotów polskich. Poczekajmy czas jakiś, a wiece sjonistyczne będą przedstawiały pana Kempnera, jako najlepszego sjonistę... Dyskusja żydowska powstała w Warszawie na tle sprawy grunwaldzkiej i polakożerczych artykułów nacjonalizmu żydowwskiego. Żydzi, którzy mówili o swym patryjotyzmie, ani razu nie podnieśli zagrożonej sprawy polskiej, ale jak jeden mąż stanęli w obronie społeczności żydowskiej, Swoją drogą ślepota ich jest zdumiewająca. Nie widzą, jaki mur niechęci dźwignęli między sobą, a narodem polskim. Warszawa przeżywa nowe uświadomienia, rewolucja wstrząsnęła nią do głębi. Wszędzie kiełkują nowe myśli, a że nie znajdują w prasie d o s t a t e c z n e g o wyrazu, to inna sprawa. A jednak do pewnego stopnia już znajdują. Postępowa prasa warszawska rozłamała się widocznie na dwa obozy, polski i filosemicki; obóz polski zaczyna przemawiać do coraz szerszych kół, gdy obóz filosemicki wpływów swoich po za sfery żydowskie nie roztacza.

Afera częstochowska przechyliła szalę opinji. Zbrodnie Paulinów otworzyły oczy ogółowi na duchowieństwo. Kto wie, czy w ciągu kilku lat, podobnie jak w Czechach, patrjotyzm nie będzie równoznawczy z antyklerykalizmem. Po miastach afera jasnogórska wywołał śród ludu ferment niesłychany. Rozmaite ciotki, które dawniej straszyły dzieci kominiarzami, dziś straszą księżmi. Lud śpiewa na nich różne piosnki szydercze. Kaznodzieje stracili powagę, a każde ich słowo podlega krytyce. Fakty posiadają większą wymowę niż najwymowniejsze uogólnienia, a jeden telegram o zbrodniach „ojcaszków“ bardziej ludzi przekonał, niż dziesięć broszur wolnomyślnych, po które swoją drogą lud dziś sięga łapczywie. I oto polskość zaczyna wyzwalać się z pod opieki dwóch czarnych sukienek, chałatu i sutanny. Katolicyzm idzie zawsze w parze z niższą kulturą społeczną, ekonomiczną, handlową. Od kościółka do szyneczku droga była zawsze niedaleka, aczkolwiek księżulkowie głosili że oni Chrystusa uczcili, a szynkarze go powiesili. Proboszcz i arendarz byli ostatecznie nie przez bardzo długie czasy największymi i jedynymi po wsiach powagami. Proboszcz miał swój międzynarodowy instytut i apelował do Watykanu jako stolicy, arendarz miał znowu swe plemię, po całej ziemi rozrzucone i powtarzał modlitewnie co roku: „Le-szana gibuu b'Jeruszalaim“, (na rok przyszły w Jerozolimie!). Patryjotyzm u tych ludzi m ó g ł być, ale nie m u s i a ł być. Zjawiał się jako „racja stanu“, ale nie jako żywioł. Opierał się na podstawach wyrozumowanych, a nie uczuciowych. M y j e s t e ś m y Polakami, oni m i a n u j ą s i ę nimi. Toteż w ostatniej rewolucji księża i żydzi odegrali pod względem polskości rolę bardzo znamienną i bynajmniej jej jeszcze nie skończyli. Ostatecznie walka, która teraz tu wre, da się zredukować do tego, kto ma być gospodarzem w Polsce, czy Polacy, czy też księża i żydzi. Niechaj nikt nie mniema, że walka ta trąci nacjonalizmem europejskim. Nacjonalizm europejski bowiem występuje zaczepnie i zachłannie, patryjotyzm polski odpornie i przeciw zachłanności. Ksiądz każe mu bronić Watykanu, żyd Ghetta. On zaś mniema, że winien służyć tylko — ojczyźnie. A ojczyzna ta, ze wszystkich stron okrojona, na każdym kroku deptana i poniewierana, wszelkich praw pozbawiona, woła ratunku. Nacjonaliści europejscy ratują uratowaną, krzepią pokrzepioną, wzmacniają tę, która dobrze utyła i topi się w własnym sadle. Nasza ojczyzna jest matką-nędzarką, tą komornicą na własnych śmieciach, tą przez wszystkich popychaną proletarjuszką i hańbą jest zaiste w takiej chwili opuszczać opuszczoną, wypierać wypieraną, szydzić z wyszydzanej i krzywdzicielką nazywać przez wszystkich krzywdzoną. Marnym parwenjuszem jest ten polski kosmopolita, który się mieni obywatelem ludzkości, a nie Polakiem. Ludzkość ucywilizowana zawsze go zapyta: a jakżeś to w ojczyźnie swojej za mnie walczył? Coś dla mnie w domu swoim zrobił? Nie kłam, żeś kosmopolita. Tyś poprostu — zbieg. To tylko misje katolickie myślą o zbawianiu dzieci chińskich, a patrzą obojętnie na mrącą z głodu dziatwę polską. To tylko misje esdeckie zawracają nam głowę jednością z proletarjatem japońskim, kopiąc równocześnie dołki pod jednością proletarjatu polskiego. To tylko sowy filozoficzne bają nam o jakiejś ludzkości abstrakcyjnej, nie mając czucia dla tej ludzkości żywej, która w kraju polskim praw przyrodzonych jest pozbawiona. Nie będziesz filozofji wzywał nadaremno, nie będziesz nadużywał szczytnych haseł humanitaryzmu, nie będziesz wykłamywał się od pracy w ojczyźnie różnymi doktrynkami i teoryjkami, któreś sobie ukuł dla usprawiedliwienia swej prostracji i swego tchórzostwa, swego niedołęstwa i swego ciemięztwa. Nie jesteś obywatelem ucywilizowanej ludzkości, ale parjasem, pniesz się między wolnych, niewolniku. Ludzkość ucywilizowana, samowładna i samostarczalna, ukazuje ci palcem twoją ojczyznę i w niej twoje zadania.

A. STRUG.

MOGIŁKA.

5)

Pognali gęsiego przez las. Jędrek prowadzony na postronku, pokazywał drogę. Szybko wydostali się na wąską drożynę leśną i z pół godziny szli wartko w zupełnym milczeniu, tylko suche liście szeleściły im złowrogo pod nogami. Który był słabszy, przemagał się, a zdążył za innymi. Wszelako po jakimś czasie rozerwał się łańcuch ludzi. Przyzostali: czeladnik piekarski Frączek, który miał odparzoną nogę, Gońca dworski gajowy, chory już od tygodnia i pan Gołoński, wędliniarz z Turobina, którego losy powstania i jego partji zaniosły aż w te strony, a który utracił już od dawna całą swoją otyłość rzeźnicką, ale nie mógł się pozbyć zatykania w gardle i duszności. Rzęził, chrapał i z wytrzeszczonymi oczami, pąsowy z wysiłku został na samym końcu. Z rozpaczą widział jak szybko oddala się kolumna, z rozpaczą widział, jak oddalają się od niego nawet ci dwaj, co przyzostali w tyle. Nikt się nawet za nim nie obejrzał. Chciał wołać, ale nie mógł głosu wydobyć. Chciał przystanąć, żeby złapać oddech i krzyknąć — ale bał się stracić bodaj jedną chwilę. Biegł drobniutkimi kroczkami, zataczał się i czuł, że lada chwila upadnie.

Pan Chądzyński dobrze znał pułkownika i wszystkie jego dziwactwa. Zastanawiał go też bardzo pewien szczery i całkiem swobodny uśmiech jaki ożywiał teraz twarz „Ruszaja“. Uśmieszek ten przywarł do niego od chwili wyruszenia z biwaku i wydawało się, że pułkownik śpieszy się ku czemuś niezmiernie miłemu i radosnemu, co stać się ma lada chwilę, bardzo prędko — ale przecież im prędzej, tym lepiej. Wbrew swemu zwyczajowi naczelnik nie zważał zupełnie na oddział, nie podpędzał zostających w tyle, nie wymyślał. Pan Chądzyński pociągnął go za rękaw i zapytał oczami.

Pułkownik przystanął i kiedy ludzie ich wyminęli, poszli obok siebie z tyłu oddziałku.

— Niech pułkownik gada, co wie. Mnie można. A ja powiem, że strasznie mi się nie chce za kordon.

— Rzecz gustu. A tym się chce . . . wskazał na idącą przed nimi gromadę.

— Między nimi jest jeszcze z pięciu, co też są gotowi. . .

— Błazeństwo! Żeby był choć jeden pluton — toby było coś . . . Pan byś wyleciał w pięciu z lasu na dwa bataljony, jak ten galicyjski uczniak? Nie uchodzi na wojnie taka pantomina!

— Okropnie słuchać, jak tamtych wycinają w pień.

— Na wojnie dużo przykrości. To jest nic. Gdyby nam teraz drogę zastąpili, tobyśmy wydali batalję według wszelkiej nauki wojskowej. Niechbyśmy wpadli na cały pułk — jabym się bronił do upadłego, bo to jest rzecz honoru wojskowego. I to jest piękne — idzie cały pułk na dwudziestu. Ale w pięciu rzucać się na pułk dla fantazji — to za głupie i za poetyczne. I na taką rzecz nie pójdą nasi ludzie. A inna rzecz — jak będzie potrzeba — łajdaki oni, wystraszone to, a wymizerowane, że patrzeć nie można, a jednak niech w tej chwili nam zastąpią drogę — to się będą bronić wcale porządnie. Pan nie wojskowy

— I pułkownik naprawdę myśli, że my do tej granicy . . .

— A zobaczymy, co tam za lasem . . ,

— Możeby ludzi uprzedzić, umocnić . . .

— Umacniać zawcześnie — to znaczy tylko gorszego strachu napędzać! Niech sobie wierzą, że uciekniemy. Ha ha . . . Widzisz pan, jak się śpieszą?

Pan Chądzyński spojrzał bystro na pułkownika, który uśmiechał się dobrotliwie.

— A jak dziś przejdziemy kordon — co pan będzie robił? Będzie pan jeszcze wracał z jaką nową partją?

— A pułkownik?

— Ja panu powiem: mnie tam nic nie obchodzi polityka, ani dyplomacja. Ani to, czyśmy już ze szczętem przegrali, ani to, czy tam jakie francuzy . . . Ja żołnierz i moja rzecz, bić się do upadłego. Toteż jeżeli mi dadzą stu ludzi podmustrowanych i gdzie będzie choć ze dwudziestu dawnych żołnierzy — to wracam, tylko się wyśpię. Inaczej nie. Ja nie mogę wstydu się najadać przed Moskalami. Na wojnę się idzie z żołnierzami. A nasi — jak przyjdzie do czego — to jedni chcą tylko umierać — a inni tylko uciekać. Rób tu obroty z takimi.

— Żołnierzy panu nikt nie stworzy. Duch znaczy wszystko. Duch tworzy cuda!

— Nie gadaj pan głupstw! Na wojnie znaczy żołnierz, co umie strzelać i co ma z czego strzelać i który słucha i ma kogo słuchać. Tego u nas nigdy nie było, ale za to ducha — ohoho... Pan nie wojskowy!

— Czemu pan ciągle taki uśmiechnięty, panie pułkowniku?

— Bo czuję blizko granicę. Będę dzisiaj spał. Przez dwa tygodnie nie dosypiałem, a przez trzy noce całkiem nie spałem.

— Wszyscy my będziemy dzisiaj spali . . .

— Tak pan prorokuje? Ha ha, zobaczymy.

Salwy terkotały bezustanku i stawały się coraz groźniejsze. Echo leśne powtarzało wiernie każdy odgłos. Raz po razu między gałęziami przelatywały kracząc wrony. Z ludzi lały się strugi potu, zrzadka odzywało się słowo. Szybko przesuwały się drzewa. Jędrek zapowiadał, że za dwa pacierze wejdą w poręby, przez które środkiem idzie gościniec. Na tę wieść o gościńcu westchnął jaki taki i żal mu się robiło gęstego lasu. Nagle wystrzały ucichły. Przyszło za to zdaleka granie trąb. Powtarzał się jakiś sygnał, oddalał się, przybliżał, zlewał się w bezładny chór, za-

wisł jeszcze w powietrzu oderwany jego pojedynczy dźwięk i w tejże chwili zaczęły się głuche, przeciągłe wrzaski i wycia ogromnej gromady ludzi. Zlewały się z nimi echa leśne.

— Stój! — krzyknął pułkownik. Baczność! Równaj front! Do szeregu!

Wyszedł przed front, oparł sztucer o ziemię i szerokim ruchem zdjął kaszkiet.

— Słuchajcie bracia! Tam nasi giną! Już na nich idą na bagnety — to koniec. I oni chcieli do granicy — a jak nieprzyjaciel zastąpił — stoczyli batalję i wyginęli mężnie. Tak i my! Słyszycie, jaki tam krzyk? Na ura! idą sołdaty. I nam wolno się ratować, ale jak trzeba będzie, zginiemy mężnie! Co? Jak tamci za lasem! Cześć ginącym braciom. My im pomóc nie mogli, bo nas garść — ale jak po drodze da się co urwać — to pójdziem. Co? A jak nas zaczepi rota, dwie roty, albo i cała brygada — to żaden z nas się nie podda. Po żołniersku zginiemy, po polsku! Cześć mężnym! Ruszaj!

Oddział baczność! Oddział, prezentuj broń!

Stali we dwa szeregi wzdłuż drogi i oddawali honory ginącym za lasem. Stopniowo umilkał rejwach bojowy. Zrzadka padł jeszcze samotny strzał. Ustalała się już cisza, aż uderzyła w las kapela wojskowa. Hucznie, tryumfalnie grzmiały trąby i głucho, jak rytmicznie zdaleka dochodzący strzał działowy, odbijał bęben takt bojowego marsza.

Pułkownik stał sztywno, jak na paradzie z odsłoniętą głową i twarzą ku dalekiej bitwie. Jego żołnierska dusza oburzała się na swoją ciężką krzywdę. Nie dał Bóg Polsce zwycięstwa, nie dał jej czasu zorganizować armji, nie dał jej ginącym wojownikom nawet tego miłego uchu żołnierza dźwięku trąby wojennej, co przygrywa do dzielności i krew do boju zagrzewa.

Nadeszli na to trzej zapóźnieni i stanęli dysząc ciężko. Pułkownik odsunął oddział w las, nakazał ciszę i poszedł ku porębie ze Smyczyńskim, prowadzącym na postronku przewodnika.

(C. d. n.)

M. DĄBROWSKI.

OBRAZKI Z BELGJI.

Bruksela, 15. października 1910.

Wystawa. Wszechświatowy kram pełen zgiełku, krzyku, okropnych afiszów, okropniejszych jeszcze ludzi.

Zjazdy, konkursy, nagrody, medale.

Miasto wre. Narodowe sztandary zdobią szyldy wielkich magazynów, międzypaństwowe barwy jeno na domach banków i składów olbrzymich widać.

Neutralna Belgia, pod protektoratem 5-iu mocarstw z Konferencji Londyńskiej, prosperuje, wytwarza, handluje i kradnie, przedewszystkiem kradnie. Kradnie pracę, kradnie myśl, kradnie serce.

„La propriété c'est le vol". Własność to kradzież, powiedział Proudhon. A Belgja najwięcej ma kapitałów. Największą jest kraju tego ekspansja kapitalistyczna. Kraj „tramwajów elektrycznych" cały świat dosłownie tramwajami tymi obdarzył i ciągnie z nich miljardowe zyski. Czyż kraj? Nie, to tylko finansiści belgijscy.

W Warszawie dalekiej strejk tramwajowy. Uczy rząd moskiewski „walki klasowej" należycie. Kapitały belgijskie w grę wchodzą. A na ziemi polskiej, w Zagłębiu, w Częstochowie, ileż razy kapitały te w grę wchodziły?

* * *

W jarmarcznym ruchu europejskich firm, w tranzakcjach — walkach giełdowych, w ryku reklamy, w szychu i pstrokaciźnie barbarzyńskiej zatonęły, prawie bez śladu, niedawne, wielkie dni wrześniowe.

Niedaleko od okazałej, pierwszorzędnej ulicy *Boulevard d' Anspach*, tuż obok najruchliwszej *Rue Neuve*, we wnęce charakterystycznej, otoczonej kwadratem domów niewysokich, bije w niebo biały pomnik z napisem „Patria".

Po bokach gazony nieśmiertelników otaczają prześliczne pomniki 2 bohaterów narodowych: Fryderyka de Mérod i Jeuneval'a.

Wnęka zwie się Placem Męczenników, poległych za wolność ojczyzny w rewolucji 1830 roku.

Biały pomnik z klasyczną postacią, zapisującą w księdze kamiennej: *23, 24, 25 et 26 Septembre 1839*, stoi na prochach kilkudziesięciu patryjotów poległych w walce barykadowej Brukseli z Holandją.

Plac Męczenników. Ręka mimowoli obnaża głowę przechodnia, taka tu powaga, taka tu cisza uroczysta panuje.

Plac Męczenników.

Na lewo widnieje pomnik Jeuneval'a. Kto to był? Poeta narodowy, twórca dzisiejszego hymnu, który na barykadach powstał. Melodją mu była przez pierwsze tygodnie polska pieśń lansjerów. Najdalej za tydzień odegrają ten hymn na powitanie Wilhelma II.

Poeta zaś zginął w bitwie z najeźdźcami pod Lierre. Była to dziwna i wielka bitwa. Nie miejsce tu nad nią rozwodzić się.

Ciało poety złożono na furgonie artyleryjskim, nie na lawecie, nie. Drogą wówczas była każda laweta w wojsku rewolucyjnym. Zwyczajny tedy wózek od patronów, za katafalk służył.

Wieziono ciało poety na wózku tym do Brukseli. Śmiertelne szczątki, symbolicznie, nawet umarłe, zajęły wrogów.

Zostały na wieki słowa pieśni, co jak pociski nabijały serca odwagą i męstwem niezwykłym.

Spełniły się dla Belgji święte marzenia naszego zapomnianego poety, co poległ pod Węgrowem.

Ah, kiedyż wykujem strudzeni oracze
Lemiesze z pałaszy skrwawionych,
Ah kiedyż na świecie już nikt nie zapłacze
Prócz rosy łąk naszych zielonych.

* * *

Plac Męczenników. Na prawo — drugi pomnik — Książę to był, Fryderyk de Mérod. Zginął również w bitwie pod Lierre.

„Frédéric de Mérode, mort pour l'Indépendence de la patrie".

Nic ponadto. Prawda, mały medalion u góry. Za to pomnik cały tworzy postać robotnika z 1830

roku, w bluzie niebieskiej, na piersiach rozchłastanej. Głowa o rzymskim profilu, spuszczona w dół.

Smutek wieje z twarzy, okrutny, przejmujący smutek. — Wsparł się na karabinie, dymiącym jeszcze od strzału, robotnik *„un de cetle canaille“*, jak pisał ówczesny paryzki „Globe“.

Plącze się u nóg laurowa gałązka.

* * *

Wystawa, wystawa, wystawa!

Śpieszcie wszyscy, tam do parku *Bois de la Canebre.*

Precz z Placu Męczenników!

* * *

Section belge. Dział pierwszy. Długa szopa, napełniona pokazami fabryk i sklepów. Na końcu z faszynowych koszów brama, w kilofy, lance, łopaty, bagnety i szable zdobna.

Militaryzm w Belgji.

W szafie niepokaźnej pamiątki z 1830 roku.

Bluza robotnicza: *le prêmier uniforme de Charles Rogier.* Ah tak, toż Karol Rogier, prawda, miał nawet przygotowaną od dawna mowę o konieczności republiki po wypędzeniu najazdu, tylko uległ namowom Lebeau, no i nie wygłosił jej w Konstytuancie.

Tak prawda. Toż on, ów pierwszy mąż stanu, Cavour Belgii odrodzonej, zaczynał jak „bandyta“, konfiskując broń z prywatnych składów w Leodjum i żądając pieniędzy od banku prywatnego. Ah tak!

Tyle pomników dziś posiada, tyle pomników. I wszędzie lwy u nóg, strzaskane, poszarpane ogniwa kajdan.

* * *

Praktyczna potomność postawiła Rogierowi pomnik w Brukseli, na placu konstytucji. Na placu barykad wynosi się za to „symboliczna“ postać lekarza Wezaliusza, anatoma z XVI. stulecia.

Bruksela, 27. października.

Wystawa wszechświatowa ma się ku końcowi. Ruch słabnie w mieście. Życie znacznie staniało. Wyblakłe barwy sztandarów, osypujący się tynk „monumentów“ i „monumentalnych“ pawilonów, starta pozłota — wszystko to czyni wrażenie przykre. Zapóźniony turysta zaledwie wystawą sztuki XVII. stulecia zachwycić się może.

Odarty, stary szyld wszechświatowej wystawy na terenie parku Solbosch razi wszystkich. Chwała Bogu, iż za dni dziesięć zamkną wystawę zupełnie.

Na dni ostatnie zawitał do Brukseli Wilhelm II. Po Królewcu, Poznaniu jest to trzeci występ.

Miasto całe, zapchane wojskiem. Zda się Belgja cała zbrojnie wystąpiła. Przeszło 30.000 wojaków „neutralnej“ Belgji przez trzy dni ma strzec osoby „gościa i przyjaciela“.

Inwazja ekonomiczna Niemiec w Belgji jest faktem dziś stwierdzonym. Obecnie prasa belgijska sygnalizuje inwazję militarną ze strony Niemiec. Nie da się zaprzeczyć, iż Lohengrin-Wilhelm II. nie w łódce łabędziej, nie w obronie Elzy zawitać dziś chce w krainę Brabancji.

Siecią strategicznych linji kolejowych otoczył rząd niemiecki granicę belgijską, setkami tysięcy przebranych szpiegów zaludnił miasta, miljonami kapitałów tłumi przemysł belgijski. Doszło już do tego, że Narodowa Fabryka broni w Herstalu, ma na czele inżynierów niemieckich, że miasto Antwerpja zmuszone zostało do zakupienia dwóch ostatnich elewatorów w fabrykach niemieckich, choć zakłady Cokerilla w Leodjum obstalunku tego już się podjęły, że sprzątnięto Belgji tłusty kąsek w Rumunji, dokąd obstalowano w zakładach belgijskich kilkadziesiąt lokomotyw.

„Niebezpieczeństwo pruskie“ w Belgji jest istotnie poważnym niebezpieczeństwem.

I doprawdy, gdym w dni przyjazdu „gościa i przyjaciela“, obserwował te przygotowania wojenne, gdy nawet depesze wysyłane w polskim języku musiałem poddawać cenzurze urzędników telegrafu, gdy w moich oczach zakuto w kajdany dwóch „wolnych“ obywateli Belgji, za to jedynie, iż ośmielili się wygwizdać „narzędzie boskie“, jasnym mi się stało, że „neutralna“ Belgja lęka się, lęka się poważnie nowego „Lohengrina“.

Na takie „przygotowania“ pozwolić no i opłacić je; na sprowadzenie 150 policjantów z Berlina; na postawienie pod bronią 30.000 kawalerji, piechoty artylerji; na udanie się osobiście „po drogich gości“ pary królewskiej, którą w Niemczech jeno następca tronu przyjmował; na postawienie specjalnych barjer, strzeżonych przez poczwórne szeregi piechoty, a za barjerami umieścić jeno publiczność z Vereinów pruskich w Brukseli, publiczność oznaczoną specjalną kokardką pruską; na zamknięcie ulic i dworców przeszło dwie godziny przed przybyciem pociągu— zezwolić na to wszystko mógł jeno rząd, który się bardzo boi.

Naturalnie sfery demokratyczne, socjalistyczne mogły na mityngach, w prasie i w manifestacjach wyrazić swe uczucia prusactwu, którego najwyższym symbolem jest Wilhelm II.

Nie zmieni to jednak postaci rzeczy.

Belgja jest poważnie zagrożoną.

Trza było widzieć radość na tych wylękłych przed chwilą obliczach publiczności brukselskiej, gdy nad głowami jej ukazał się statek powietrzny — duma i nadzieja Belgów, ich własny balon dirigeable.

Całe to pogotowie zbrojne, zadarło głowy do góry, wlepiło oczy w statek ukochany. Na chwilę zapomniano zupełnie o „gościu“.

A jemu na wspomnienie resztek Zeppelina musiało się zrobić nieprzyjemnie.

Statek płynął wolno nad pałacem królewskim, okrążał go, zniżał się, złocił się w słońcu, błękitniał w przestworzu.

Tłum w niemym zachwycie stał długo, długo.

Z TEATRU.

(„WIELKI FRYDERYK“ ADOLFA NOWACZYŃSKIEGO).

(m) Nowaczyński ma stanowczo ogromną intuicję historyczną. Widać to było w dawniejszych dramatach historycznych, widać na wielką skalę w „Wielkim Fryderyku“, gdzie autor odtwarza przeszłość tak bezpośrednio, iż dramaturgowi mógłby pozazdrościć historyk. Czyniono Nowaczyńskiemu zarzut, że sztuki jego cierpią na brak węzła dramatycznego. Zarzut, choć częściowo słuszny, da się usprawiedliwić tym, że autorowi chodzi przedewszystkim o przedstawienie kultury umysłowo-obyczajowej danej epoki, o uwypuklenie na takim tle pierwszorzędnej osobistości dziejowej, mniej zaś o efekty czysto teatralne, polegające na żywej akcji i zręcznym zawikłaniu. Jeżeli tedy w stosunku do Nowaczyńskiego podzielać należy zarzut krytyki ze stanowiska szkolarskiej teorji, nie można przecież zapoznawać wspa-

niałych zalet autora ze względu na znakomitą intuicję historyczną i inne wartości literackie.

„Wielki Fryderyk“, grany już na najważniejszych scenach polskich, wywołał u wielu zgorszenie. Brano autorowi za złe, że przesadza jakoby w pokazywaniu prawdy i kala przeszłość narodową. Pogląd nieuzasadniony, — raz dlatego, że ze sceny powinna przemawiać prawda, powtóre, że naród dojrzały prawdy się nie lęka, przed rachunkiem sumienia się nie cofa, poznaje spokojnie błędy przeszłości, aby uchronić od nich teraźniejszość. Nie ulega wątpliwości, że obraz społeczeństwa naszego w „Wielkim Fryderyku“ wypadł niepochlebnie. Czy jednak inną była rzeczywistość? Czy prace historyczne Kalinki, Kraszewskiego. Jarochowskiego i innych nie przedstawiają równie przykrych obrazów? Raczej jeszcze jaskrawsze. Czy zresztą rozbiory kraju jasno nie dowodzą. że podłość i zdrada tworzyły wówczas opinję, że reformatorom patryjotycznym skrępowano ręce, a kraj sprzedano i zaprzepaszczono?...

Gorszono się szczególnie, że poniżonym jakoby został jako człowiek znakomity pisarz owej epoki, książę biskup warmiński. Cóż jednak począć, gdy wielki satyryk był niestety dzieckiem zepsutej obyczajowości, gdy zabiegał naprawdę o łaski Prusaka, przyjmował jego gościnę, bawił go dowcipami, gdy zachowywał się tak, jak wysoki dostojnik polski nie powinien się był zachowywać wobec zaborcy i koronowanego zbrodniarza. Na nieszczęście nie była lepszą Egierja poczdamska, pani jenerałowa Skórzewska, nie byli lepsi liczni inni, w dramacie niepokazani, którzy z podziwu (!) dla gienjuszu Fryderyka zdradzali ojczyznę, lubo niewiele otrzymywali oprócz pogardy, której Fryderyk nie szczędził podłym, bo oszczędnym był tylko w wypłacaniu talarów. Chłoszcząc ze sceny zło, ma tedy dramat Nowaczyńskiego niepoślednią wartość pedagogiczną i jest niestety aktualnym i dla dnia dzisiejszego.

Wprost doskonałą jest postać samego Fryderyka. Brudny, skąpy, brutal, kłamca, oszust i cynik — równocześnie zaś pracowity do znoju i bezwzględny, gdy idzie o interes dynastyczny. Nowaczyński pokazał wybornie tę w swoim rodzaju gienjalność zbrodniczą, która zbudowała Prusy i przygotowała przyszłe cesarstwo Hohenzollernów. Cnotliwe i zdeprawowane ślepe narzędzia, w guście von Zietena i von Bismarka, dopełniają misternie całości obrazu i składają się na dzieło niepoślednie, jakim jest sztuka o „Wielkim Fryderyku“. Wielkość oficjalna pokazana zbrodnią, sztuka dyplomatyczna odsłoniona w ohydnej nagości, skarga niewstrzymana na upodlenie ludzkie, które pozwala wzrastać Fryderykom, — czyż to znowu błahe refleksje? czy niepotrzebne demokratycznym czasom, w których — jak mówimy — żyjemy?

Na szczególną uwagę zasługuje doskonale naśladowany język XVIII-go wieku, włożony nawet w usta Prusaków, co mimo spotykanych odmiennych zapatrywań trzeba uważać za słuszne. Tak zrobił Słowacki z cudzoziemcami w Zawiszy Czarnym, tak robili najlepsi dramaturgowie innych narodów.

Wypada zaznaczyć. że dyrekcja teatru lwowskiego pozbywa się w ostatnim czasie niechęci do poważnej, nowszej twórczości polskiej, skoro dramat Nowaczyńskiego wprowadziła na scenę i przygotowała przedstawienie dość starannie. W grze uderzał jednak często brak stylowości, zgodnej z epoką. Nie można także pochwalić, że ministrowie Fryderyka robili zdziecinniałych niedołęgów, a początkujący dyplomaci za swobodnie wymachiwali rękami. P. Chmieliński dał pracę dużą, ale nie zdołał wycieniować mnóstwa szczegółów, ani w modulacji głosu ani w poruszeniach nie wzniósł się na poziom bogatej natury Fryderyka. P. Fritsche, na ogół szczęśliwy, był jeszcze za mało miękki i gładki, jak na Krasickiego. P. Fiszer w roli Zietena wzruszył publiczność dobrze oddanymi sentymentami. Niezgorszym, choć za bardzo safandułą, był p. Ratschka w roli Mowińskiego. Z pań, choć w krótkiej rólce, wyróżniała się p. Zielińska. Inni panowie i panie — z nielicznymi wyjątkami, nie zrobili wszystkiego, co mogli.

Z TYGODNIA.

O PRAWO POLSKIEGO PIEMONTU. Dzień piątkowy — 28. października — był we Lwowie dniem powszechnego strejku akademickiego, dniem burzliwych demonstracji ulicznych. W myśl uchwały wiecu ogólnoakademickiego młodzieży polskiej, celem zaprotestowania przeciw wysługiwaniu się Rosji przez policję krakowską, parę tysięcy młodzieży opuściło audytorja wyższych zakładów naukowych. Za młodzieżą niepodległościową obu odłamów poszedł ogół, przy bezsilnie protestującej garstce zacietrzewionych „czytelniaków“, ostatnich mohikanów młodzieży narodowo-demokratycznej. Tutaj nasuwa się przykra refleksja: czyż nie mogli ci panowie, zwalczając myśl manifestacji strejkowej, powstrzymać się jednak od prób złamania strejku? W łonie samej młodzieży postępowej, socjalistycznej i niepodległościowej, różne były poglądy na to, czy strejk właściwą jest bronią: ustały dyskusje, gdy strejk przeszedł w fazę realizacji. I okazało się, że był wśród młodzieży żywiołowy prąd do takiego właśnie energicznego wystąpienia. Wbrew fałszywym relacjom części prasy żaden wykład nie odbył się na politechnice, żaden w szkole lasowej, żaden w akademji rolniczej w Dublanach, która z własnego popędu, pięknym, patryjotycznym porywem, przyłączyła się do manifestacji. Na uniwersytecie uparła się wędrować z wykładu na wykład garstka obrońców porządku; po południu i tutaj wykłady zostały zerwane. Dzięki taktowi manifestantów obeszło się przytym bez ostrzejszych starć. Młodzież ukraińska i żydowska, w poczuciu wielkiej doniosłości sprawy dla wszystkich narodowości kraju, powstrzymała się — uczciwie i lojalnie — od pójścia na uniwersytet. Dla „Słowa Polskiego“ był to pretekst do ogłoszenia strejku za nienarodowy... I po co było tą zbędną wycieczką psuć własny postępek uczciwy i obywatelski, ujęcie się za Królewiakami i Limanowskim?

Temperatura była gorąca. Do dwóch tysięcy młodzieży wiecowało na politechnice, na terasie uniwersytetu, pod pomnikiem Mickiewicza. Przez wszystkie główne ulice przeciągali manifestanci, grzmiała pieśń rewolucyjna i patryjotyczna. Manifestowano pod namiestnictwem, pod sejmem, pod konsulatem rosyjskim. Kilkakrotnie ścierano się z plutonami policji, która ciężką miała tym razem pracę. Mimo grzmocenia pięściami i użycia broni białej, młodzież nie dawała się rozprószyć. Dr. Bobrzyński, przeciwnik pokojowego obchodu na cześć sędziwego i zasłużonego patryjoty, musiał teraz patrzeć bezradnie na małą rewolucję we własnej siedzibie, patrzeć na poruszenie całego miasta, na tłumy publiczności, oklaskujące gorący i odważny czyn młodzieży, na

jawne zakłócenie porządku — przez cały dzień prawie wiecowano bez zezwolenia policji i pod gołym niebem — w czasie obrad sejmu... Tu l'a voulu, Georges Dandin...

Swoim manifestacyjnym wystąpieniem młodzież lwowska zasłużyła się dobrze około sprawy publicznej. Zadokumentowała, że zakazać uczczenia człowieka, ukochanego przez wszystko, co żywe w narodzie, może tylko najniepoprawniejszy z marzycieli; zadokumentowała, że jeśli to, za co uwięziono młodych Królewiaków w Krakowie, nazywa się spiskiem, to do spisku tego należy cała niemal młodzież polska i wytępić go nie można, jak nie można wytępić żądzy wyzwolenia.

KOMEDJI O REFORMĘ WYBORCZĄ DO GMINY CIĄG DALSZY. (Ełka). W ubiegły poniedziałek zebrała się pełna komisja dla sprawy reformy, ażeby na podstawie materjału, przedłożonego przez subkomitet, przygotować ostateczne wnioski na pełne posiedzenie rady w ubiegły czwartek. Zdawałoby się, że jednogłośnie uchwalona nagłość i oznaczenie terminu dwutygodniowego tym nareszcie razem traktowane będą na serjo i zostaną dopełnione. Okazało się wszakże, że „Koło mieszczańskie" jeszcze się nie zdecydowało, chciałoby poczekać na nowy spis ludności, uważa żądanie reformy za postulat „gorących" kolegów, a nie za opinję szerokich kół ludności, że nie należy — jego zdaniem — sprawy przynaglać, ale załatwić ją „zwolna, w miłości i spokoju"... Trzeba zatym termin wyznaczony przedłużyć, zwłaszcza, że sejm, zajęty innymi kłopotami, reformą miejską nie będzie się zajmował i nie załatwi jej w obecnej kadencji... Przeciwko takiemu traktowaniu rzeczy „Klub reformy", który dla dojścia do kompromisu poczynił najdalsze ustępstwa, oświadczył się z całą stanowczością i zażądał, ażeby w myśl uchwały Rady komisja przedłożyła bezwarunkowo konkretne wnioski na najbliższe posiedzenie czwartkowe. Przyciśnięte do muru „Koło mieszczańskie" zdecydowało się odsłonić przyłbicę. Wypowiedziało tedy przez usta p. Neumana, że mogłoby się zgodzić, po poprzednim jeszcze omówieniu na „Kole", na następujące propozycje: Rada będzie się składać nadal ze 100-u członków. Na kurję powszechną wyznacza się 5 mandatów. W kurji tej będą głosowali wszyscy obecnie uprawnieni, a nadto z niżej opodatkowanych i nieopodatkowanych ci, którzy skończyli 30-y rok życia, umieją czytać i pisać i od trzech najmniej lat zamieszkują we Lwowie. Kobiety mogą głosować przez zastępstwo lub osobiście, w kurji powszechnej oprócz dzisiaj uprawnionych otrzymają głos te tylko, które ukończyły 30-y rok życia i mają świadectwo maturalne. Kadencja ma być 6-letnia. W razie dojścia do skutku reformy w najbliższym czasie przedłuży się o 3 lata mandaty obecnie wypadających, tak, aby za 3 lata mogły się odbyć wybory wszystkich 100-u radnych. Po obwieszczeniu propozycji „mieszczańskich" i przeprowadzeniu szczegółowej dyskusji zarządzono głosowanie. Wnioski subkomitetu upadły głosami prawie wszystkich członków komisji z wyjątkiem głosów „Klubu reformy". Uchwalono natomiast propozycje p. Neumana i towarzyszy z „nowej demokracji" wszystkimi prawie głosami, znowu z wyjątkiem głosów „Klubu reformy". Rozmaitość głosów okazała się tylko w sprawie udzielenia kobietom biernego prawa wyborczego. 11-e głosów oświadczyło się za, tyleż głosów przeciw. Wobec takiego zmajoryzowania we wszystkich kwestjach członkowie „Klubu reformy" zastrzegli się co do przyjęcia uchwalonych propozycji i orzekli, że rzecz zostawią decyzji pełnego „Klubu". Ich bowiem słusznym zdaniem propozycje mieszczan są reakcyjne, wypaczają zasadę powszechności, stwarzają dwa mierniki dla wyborców, gdyż w dzisiejszej kurji dopuszczają analfabetów, 24-letnich i osiadłych od roku, a w powszechnej czynią daleko idące ograniczenia. Reforma taka byłaby tedy cofnięciem się i obaleniem zasady powszechności. Rzecz charakterystyczna: twórcy ustawy wyborczej z przed lat 40-u (tyle lat liczy dzisiejsza ustawa) byli bardziej demokratyczni niż dzisiejsi „mieszczanie", bo nie poczynili dla dzisiaj uprawnionych tego rodzaju zastrzeżeń, jakie chcą uczynić dzisiejsi „demokraci rozmaitego nabożeństwa" dla kurji powszechnej. Reakcyjność taką poglądów nazywa się szumnie pilnowaniem dóbr narodowych, patryjotyzmem i rozwagą, gdy jest to tylko całkiem proste i pospolite „kołtuństwo", bezmyślność i zaśniedziałość. W gruncie rzeczy nie zaszły żadne niespodzianki. Panowie z „Koła mieszczańskiego" i „owi rozmaici" zdemaskowali się bardzo jasno, że nie chcą żadnej reformy wyborczej. Rzekome ustępstwa, jakie pozornie chcą uczynić, obliczone nieszczególnie na przyszłe wybory, nie zmienią rozumnej opinji o zacofańcach, którzy nie umieją nawet zabawić się w dobrych aktorów niewesołej komedji o reformę wyborczą do gminy. Jeżeli powiadają, że u nas kultura niższa niż na Zachodzie i nie można iść za daleko, to brak zrozumienia postulatów kulturalnych powinni przypisać — przedewszystkim samym sobie. Ustępstwa „Klubu reformy" i kilku innych szczerych zwolenników rozszerzenia prawa wyborczego były tak wielkie, iż tylko złą wolą nazwać się musi zakamieniałość „mieszczan" i innych „demokratów", którzy oparli się kompromisowej cyfrze 10-u mandatów z kurji powszechnej i skrzywili całkowicie samą zasadę powszechności. Stanowisko zacofane i nieustępliwe dzisiejszych panów ratuszowych, którego jednym z bardzo licznych objawów jest także sprawa reformy wyborczej, dowodzi nieomylnie, że dla miasta zbliża się chwila stanowczych rozrachunków z niedającą się dłużej wyrozumieć nieudolnością i samolubstwem.

Zbyteczna dodawać, że komisja dla reformy terminu nie dotrzymała i w miniony czwartek (3. b. m.) wniosków konkretnych nie przedstawiła. „Koło mieszczańskie" jeszcze się nie namyśliło, ma „czas i cierpliwość". Kto pożyje, zobaczy, ile takich czwartków przeminie.

„DZIENNIK POLSKI" O WYCIECZKACH POLITYCZNYCH. Świetne powodzenie wieców, które radykalni demokraci lwowscy: radni Laskownicki, Lisiewicz, Śliwiński i inni, organizowali w ostatnich tygodniach w Przemyślu, Drohobyczu, Samborze, Stanisławowie, zapał, z jakim przyjmowała inteligencja, mieszczaństwo, robotnicy, owych pierwszych przedstawicieli odrodzonej polskiej demokracji, wszystko to zaalarmowało silnie wszechpolaków i „bobrokratów". Posypały się artykuły ostrzegawcze w pismach pseudodemokratycznych, a najhałaśliwiej na alarm zadzwonił główny prgan „bobrokracji": *Dziennik polski*. Miłe to pismo piorunuje w nrze poniedziałkowym na inicjatorów nowego ruchu, jako na „rzekomych demokratów" i pomstuje na ich „wycieczki polityczne". A to dlatego, że działają w przymierzu z ludem roboczym, i że nie urządzają antyrusińskiej hecy,

Według „Dziennika polskiego" i wszystkiej „bobrokracji" nie są ci bowiem „szczerzy demokraci", którzy szukają oparcia w masach ludowych; którzy chcą zastąpić waśń z pobratymczym narodem solidarną walką o lepszą dla obu narodów przyszłość. Ludzie, którzy na swym sztandarze wypisali słowa „wszystko dla ludu przez lud!" — „kto przeciw nam, przeciw ojczyźnie jest!" — ludzie. którzy z wiarą w lud konali w r. 1846. pod razami ciemnego chłopa, a w r. 1863, nieśli ludowi ukraińskiemu po rusku pisaną „złotą hramotę" — toż to byli nieprawdziwi, „rzekomi" demokraci. „Szczerzy demo-

kraci“ nie urządzają — broń boże! — „wycieczek politycznych“ dla wejścia w czucie z powszechnością narodową; oni przecież nie wierzą w narodowe uświadomienie robotników. „Rzetelni demokraci“ hamują postęp własnego narodu ze względu na „niebezpieczeństwo ruskie“. Oni nie znają innych „politycznych wycieczek“, jeno do przedpokoju namiestnika...

MISERICORDIA.

(g) Paderewski jest szerokiej sławy pianistą, wyjątkowo ofiarnym i godnym powszechnego szacunku obywatelem, ale cień jego postaci nie może i nie powinien przyćmiewać ani glorji narodowej Grunwaldu, ani blasku wszechświatowego gienjuszu Chopina, jak to się stało w obu obchodach. Sądzimy, że subtelnemu artyście sprawi tylko przykrość niewłaściwość sytuacji, w jakiej go stawia ciekawość gawiedzi, oraz spryt ludzi świadomych, że praktyczniej ubiegać się o względy możnych a żywych, niż hołdować nieśmiertelnej chwale tych, co minęli, oddali wszystko co mogli i nic więcej ofiarować już nie są w stanie... nikomu.

(MK) Uosobione w pewnym „wielce niesympatycznym młodzieńcu“ „Widnokręgi“ gniewają się na „Życie“, że zamiast traktować poważnie ich artykuł w sprawie aresztowań krakowskich, odpowiedziało nań wymierzonym przez kolegę G. razem mizerykordji. To już trudno, panie lb., są postępki, które poważnie traktować dadzą się jeno... w namacalny sposób.

Powszechne oburzenie, które wywołała arogancka bezmyślność pana lb., nie otworzyło mu oczu na niewłaściwość jego postępku. Nie rozumiał on nawet, że ludzie idei, uwięzieni i oskarżeni o „zbrodnię stanu“, tym samym nietykalni są dla każdego człowieka honoru. Pouczyć może o tym pana lb. choćby — redakcja „Słowa Polskiego“. No, ale to już jest kwestja nietyle przekonań, ile moralnego poczucia. „Poważna i rzeczowa dyskusja“ nie zaradzi defektom pana lb. w tym względzie.

„Nie zwracalibyśmy nawet na to uwagi“, gdyby nie wykręty pana lb. Twierdzi, żeśmy „sfałszowali“ jego stanowisko. Wrócimy zatym do jego pierwszego elaboratu („Widnokręgi“, zeszyt XV, str. 89 sg.). Najpierw przygważdżamy niemądrą plotkę o „systematycznych ćwiczeniach na błoniach“. Skąd o tym wie pan lb.? Czy od którego z krakowskich policjantów? Przygważdżamy drugą, o militarnych artykułach „Zarzewia“ i „Promienia“. Nie było ich dotąd— będą może. Przygważdżamy ów zarzut pana lb.: „gdyby ci panowie kładli nacisk na fizyczne odrodzenie naszej młodzieży... gdyby wiązali się w koła sportowe i w tym celu strzelali, fechtowali się etc. moglibyśmy mieć jedynie dla nich słowa uznania“. A skądże wie detektyw — woluntarjusz, co robili, a czego nie robili więźniowie krakowscy? Nieco przedtym czytamy słowa pełne zgrozy: „Szereg młodych chłopców zakłada tajne stowarzyszenie polityczne,... organizuje się wojskowo...“ A o tym skąd wie pan lb? Na ślad tajnego stowarzyszenia politycznego nie wpadła nawet krakowska policja. Co do organizowania się wojskowego, czymże różni się ono od zalecanych przez rycerskiego pana lb. „kół sportowych“, które uczą strzelać? Czy brakiem zatwierdzonego statutu? All right! Zupełnie słusznie, ze stanowiska koncepisty c. k. policji. Pan lb. daje radę młodzieży: zostawić „ćwiczenie praktyczne w broni“ „czynnikom do tego powołanym, więc wojsku, szkołom fechtunku etc.“ Ślicznie — ale gdzież „koła sportowe“? Tutaj już pan lb. jest plus catholique que le pape, ostrożniejszym niż c. k. ministerja i namiestnictwa, które zgoła sobie nie życzą, by „ćwiczenia praktyczne z bronią“ były monopolem wojska. Co do wartości taktycznej fechtunku nie śmiemy wdawać się w dyskusje z mądrym rzeczoznawcą z „Widnokręgów“.

Lecz pan lb. pisze gdzieindziej (zeszyt XVI str. 126) o tym, jak uosobiony w nim genjusz narodu płacze, widząc po prawicy hrabiego Milewskiego a po lewicy „ćwiczenia bronią z giestem bohatera“. Biedny „gienjusz narodu“ dostaje, zdaje się, konwulsji na samą myśl o broni i strzelaniu. Te konwulsje strachu są dlań łagodzącą okolicznością...

(g) W Krakowie, jak donosi „Naprzód“, akademik S. został wezwany „pod telegraf“, gdzie mu komisarz policji oświadczył, iż będzie karany za to, że w dniu 18. z. m. podczas demonstracji patrzał na niego „nieprzyjaznym okiem“. Wobec tego faktu ludzie wysokiego wzrostu unikają spacerów w obawie, by nie znaleść się pod zarzutem, iż spoglądają na policję z góry. Jeszcze w przykrzejszej sytuacji znalazły się osoby o tak zwanych ciekawych noskach, zadzieranie bowiem nosa przy spotkaniu się naprzykład z samym p. Flatauem narazić może na grubą odpowiedzialność.

Skutkiem tych nowych zarządzeń policji w mieście powstał popłoch, ruch zamarł, mieszkańcy bowiem wysiadują przed lustrem, usiłując nadać swym twarzom możliwie uprzejmy wyraz, oczom najsłodsze strzeliste wejrzenie.

(l) Znane są wam, czytelnicy, głębokie dociekania historjozoficzne księdza Pawelskiego T. J. na temat rodowodu ideowego Macochów. Odmienny pogląd wypowiedział kolega Jeżyna w ostatnim zeszycie „Życia“. Natomiast ksiądz arcybiskup Teodorowicz podtrzymuje tezę „Przeglądu Powszechnego“, że Macochów zrodziły prądy rewolucyjne, które swymi miazmatami zakaziły nawet bogobojne klasztorne zacisze. Tym razem jesteśmy przekonani. Należałoby o tym również przekonać inne nacje. Te mnichy i ci duszpasterze, którzy w Medjolanie gwałcili dzieci paroletnie, zarażając je strasznymi chorobami, właściwie nie byli zarażeni niczym innym, jak tylko — ideami rewolucyjnymi. Ksiądz Teodorowicz powinienby również znieść się coprędzej z prof. Ehrlichem. Może jego preparat okaże się na różne objawy tej choroby rewolucyjnej pośród duchowieństwa skutecznym remedjum.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce na 2 i 3 str. okładki 20 hal., na 4 zewnętrznej 30 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12 -1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.
Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.
Redaktor odpowiedzialny Juliusz Łopatka.

Elektryczność

Z POWODU ZNIŻENIA TARYFY O 25°/₀ ORAZ DZIĘKI WPROWADZENIU LAMPEK METALOWYCH STAŁA SIĘ WE LWOWIE DOSTĘPNĄ DLA WSZYSTKICH JAKO NAJLEPSZE I JEDYNIE ZDROWE OŚWIETLENIE ORAZ NAJLEPSZY I NAJTAŃSZY POPĘD MOTORÓW PRZEMYSŁOWYCH. :: :: :: :: :: :: :: :: ::

INFORMACJI UDZIELA BIURO, ULICA WULECKA L. 12. — TELEFON Nr. 779.

INSPEKCJA CAŁONOCNA.

BRACIA MUND — LWÓW

Biuro: ul. Sykstuska 23
Fabryka: Łyczaków 118

największy skład materyałów budowlanych - - - Fabryka wyrobów cementowych i asfaltu - - - Przedsiębiorstwo budowy kanałów, bruków, robót betonowych, urządzeń sanitarnych etc. etc.

Dostawcy i przedsiębiorcy: c. k. Rządu. Kolei państw., Wydziału kraj., Rad powiatowych, Gminy miasta Lwowa etc.

Pierwszorzędne referencye za wykonane roboty - - -

Odznaczeni na wystawach krajowych i obcych.

Kurjer Lwowski

wychodzi dwa razy dziennie.

Prenumerata Kurjera Lwowskiego wynosi na prowincji z dostawą do domu K 2 70 miesięcznie we Lwowie za oba wydania wynosi 2 Kor. miesięcznie, z dwukrotną dostawą do domu o 60 gr. więcej.

Kurjer Lwowski obok powieści Artura Ćwikowskiego p. t. „Księżniczka z bajki" drukuje obecnie najnowszą powieść Stanisława Przybyszewskiego pt. „Zmierzch" Nowi prenumeratorowie otrzymają początek tej powieści bezpłatnie:



ZAKŁAD TAPICERSKO-DEKORACYJNY

Józefa Früauffa

WE LWOWIE ulica Piekarska l. 14.
Zastępca fabryki stór i żaluzji J. Christofa.

Schowki depozytowe

w osobnych szkatułach pod własnem zamknięciem najpewniejszy sposób przechowania papierów wartościowych i kosztowności — poleca

DOM BANKOWY SOKAL i LILIEN

Abonament roczny, półroczny i kwartalny.
Prospekty na żądanie.

Wypożyczalnia książek

pod firmą

„KSIĄŻNICA LITERACKO-NAUKOWA"

ul. Kopernika 14.

Najcelniejsze utwory literatury powszechnej. ! Najświeższe nowości ! Dla pp. Akademików i Studentów ZNIŻONE CENY.